

Górski motyl

20 stycznia 2008

Znów idę krętą, górską drogą. Tą samą drogą, którą ubiegłej jesieni szliśmy razem. Liście topól i płatanów krzyczały kolorami, a ty rzekłeś, że jesień to najpiękniejsza i najsmutniejsza z pór roku. Czasem przystaję i oglądam się za siebie. Dziwne dostojeństwo panuje w tych górach.

Teraz siedzę na owej ławce. Oparłam się o wysoką topolę, plecak postawiłam obok i myślę o tobie i jesieni.

Liście opadły z drzew i ziemi prawie spod nich nie widać. Drzewa stoją nagie. Dumne i piękne są w tej swojej nagości. Wieje silny wiatr. Czuję, że drzewo drży w środku i słyszę, jak jego serce płacze.

Z kafejki mężczyzna przynosi herbatę. Jest uprzejmy, lecz czuję, że smutnieje, gdy widzi samotność moją. Owego dnia byliśmy tacy radośni, nic nie wiedząc o przyszłej jesieni, o tej jesieni.

Gdy szłam stromym zboczem, znów wspomniałam cię i przystanęłam. Zupełnie jak owego dnia, kiedy szliśmy wtedy razem i ty nagle stanąłeś. Jeszcze całkiem się nie rozwidniło. Spojrzałeś na niebo i spytałeś: „Gdzie gwiazda poranna?” Niebo było jednak pochmurne i gwiazdy porannej nie było widać.

Dziś z bliska przyglądałam się wielkiej skale. Dotknęłam jej. Mimo że była tak potężna i twarda, kruszyła się. Odłamałam kawałek i włożyłam do plecaka. Może nie uwierzysz, ale dziś przez chwilę myślałam, że patrzę, jak ktoś chce sobie odebrać życie. Gdy siedziałam na drewnianej ławce oparta o ścianę kafejki, zobaczyłam młodego mężczyznę, który zbliżał się dumnie. Szedł na skróty drogą, której dotąd nie znałam. Młodzieniec bez strachu szukał stopami szczelin w skale i schodził w dół. Dużą część skały pokrywał lód, lecz on jeszcze nie dotarł do niego. Byłam na przeciwko skał i widziałam,

gdzie zaczyna się lód. Myślałam, że jestem świadkiem, jak ktoś tam w górze chce sobie odebrać życie. Poczułam w sercu niepokój. Nie chciałam widzieć, jak ktoś spada ze skały. Tak bardzo się bałam o tego obcego mężczyznę, że nie mogłam oderwać od niego oczu. Bałam się krzyknąć. Odwlekał swój upadek. Och, nie wiesz, jak bez strachu schodził. W końcu dotarł do zmarzliny, poślizgnął się i zjechał trochę w dół. Nie miałam nadziei, że wyjdzie z tego. Stałam bezradna. Chwycił się ręką suchego krzaka i zatrzymał się. Wyglądało to na cud. Po kilku chwilach znalazł wśród skał miejsce, gdzie mógłby postawić stopę, i wstał. Ruszył z powrotem w dół z tą samą beztroską. Odetchnęłam. Dopiero wówczas zdołałam oderwać od niego wzrok. Niebezpieczeństwo minęło.

Patrzyłam się na nagie, jesienne drzewa. Jak wiele potrafią wytrzymać smagane zimnem. Siedzę na ławce w słońcu jesiennym. Lekko drzę. Łagodne ciepło słońca jest bardzo przyjemne. Moja samotność zaś tak bolesna.

Nie wiem, skąd wziął się motyl o tej porze roku. Przyleciał i usiadł mi na piersi. Nie mógł dobrze latać. Delikatnie wzięłam go za skrzydła. Były na nich dwa złote koła. Dolna część jego skrzydeł była uszkodzona. Może dlatego schronił się przy mnie. Żałuję, lecz muszę go puścić. Dobrze jednak wiem, że nie może latać jak dawniej. Delikatnie stawiam go na drewnianym stole. Złote koła zostają na moich palcach.

Biorę w ręce kubek z herbatą, która paruje. Robi mi się ciepło. Mężczyzna z kafejki zajęty jest pracą. To miły człowiek. Gdy tak patrzę na niego, przypomina mi się twoje pytanie, które zadałeś ostatnim razem: „Czy miłość ma granice?” Nie wiem, czemu płaczę, ilekroć przypominam sobie twoje pytania. Tak jak teraz. Odwracam głowę ku górom, aby nie widział moich łez. Ma dobre serce, więc lepiej dla niego, aby mnie taką nie widział. Ilekroć płaczę w obliczu gór, ogarnia mnie dziwne uczucie. Myślę: „Cierpienie nie ma końca.” Cierpliwość i dostojność gór zawstydzają mnie i sławię ich ciszę.

Gdy minęłam mały strumień, ten sam, którego wody były niegdyś czarne, a ty przystanąłeś i zapatrzyłeś się w nie, przyrzekłam sobie, że stanę się twarda, jak skały.

Motyl już się nie boi. Jest mały i bezbronny. Może to ostatni górski motyl tej jesieni. Uśmiecham się na myśl o wiosnie, kiedy jedwabniki przeistoczą się w motyle i w wiosennym słońcu będą latać tam, gdzie tylko zechcą. Wiosna, która nadejdzie, budzi we mnie nadzieję.

Czuję, że zmarzły mi nogi. Zimno dokucza. Biorę plecak i z kubkiem herbaty wchodzę do pustej i cichej kafejki. Pali się w piecu. Siadam przy ogniu. Owego dnia i ty przy ogniu siedziałeś. Na zewnątrz duże płatki śniegu przykryły wszystko bielą. Suche krzaki obsypane śniegiem podobne były koralom. Trzymałeś czerwone i zimne ręce nad ogniem, rozprostowując i zginając zmarznięte palce. Zapatrzona byłam w twoją twarz, a ty w czerwień ognia.

Za oknem na nagiej gałęzi drzewa siada kilka małych szczygłów. Szczebioczą i nie mogą spokojnie usiedzieć. Martwię się o motyla. Wychodzę na taras i stoję obok ławki. Motyla nie ma. Może wiatr go zabrał ze sobą. Smutno mi i znów chronię się przy ogniu.

Autor: Faride Cheradmand

Tłumaczenie: Albert Kwiatkowski

Źródło: [Arabia](#)